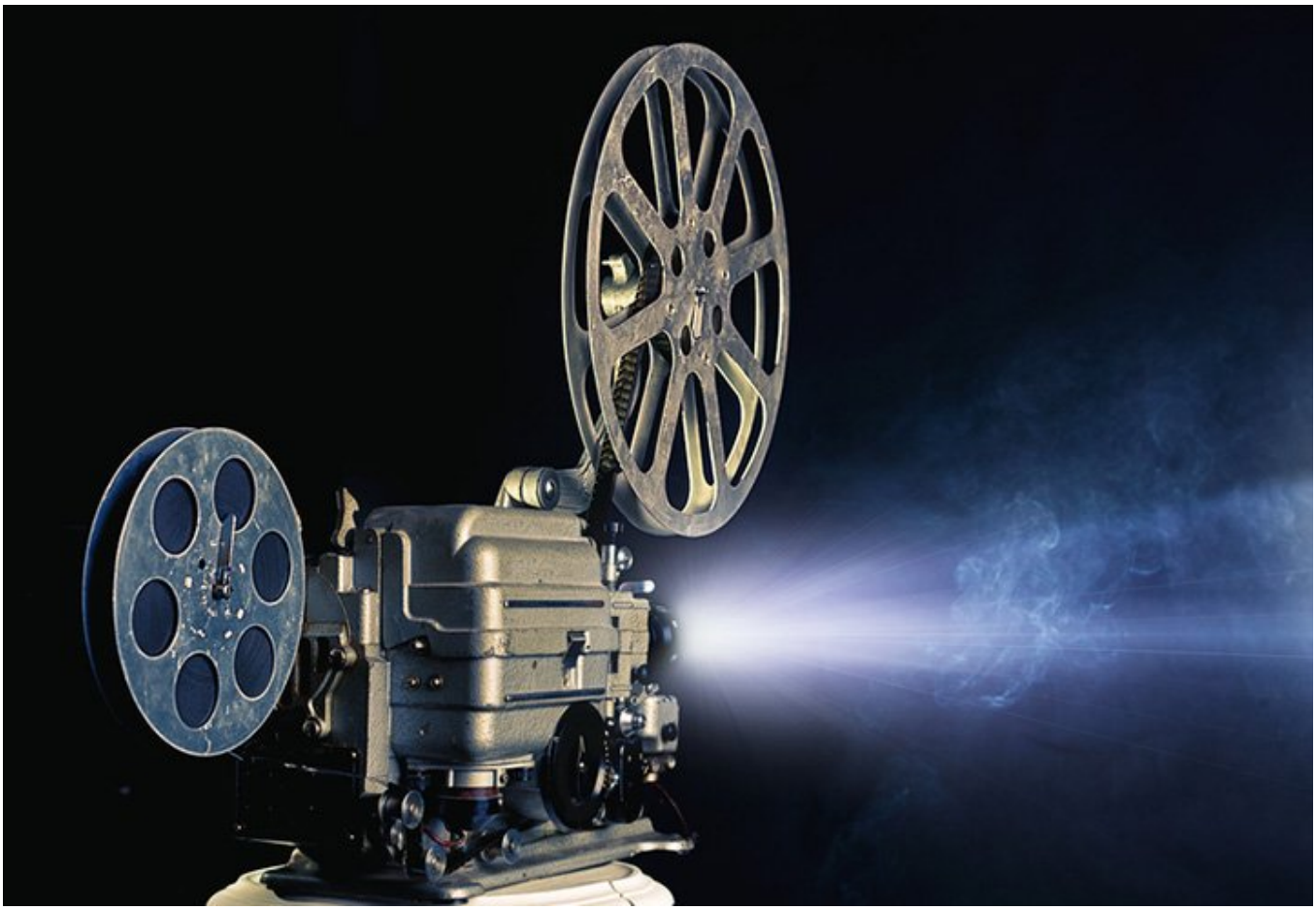
Objazdowe kino



Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Z początku pojawiał się on, najczęściej na motocyklu, w podniszczonej czarnej skórzanej kurtce i przekrzywionym na bok berecie, sypiący dowcipami i uśmiechnięty, obiekt zazdrości

chłopców i westchnień dziewczyn.

Niektórym z nas podawał rękę, co było szczególnym wyróżnieniem, potem najbardziej zaufanym wręczał cienkie rolki papieru. Były to afisze, na których chemicznym ołówkiem, zamaszyście i z wykrętasami wypisano nazwę filmu. Wyruszaliśmy rowerami z nimi w różne strony i już wkrótce afisze widniały na przystanku autobusowym, przy sklepie, a także na studniach, słupach i płotach.

Po południu z miasta nadjeżdżał samochód, który pod pustą stodołę przywoził sprzęt i metalowe pudełka z filmem. Kinomechanika osaczali stali bywalcy, mężczyźni, którzy częstowali go papierosami i wódką. Na olbrzymią, co najmniej stuletnią lipę, wciągaliśmy skrzynie z głośnikami, podłączone do wzmacniacza – po czym rozpoczynał się wielki koncert.

I płynęły melodie w ciepłe niedzielne popołudnie ponad dachami chat, sadami, zgarbionymi od ciężaru dojrzewających jabłek i ogrodami, pełnymi wonnej maciejki. Były to dźwięki o magicznej sile – przywoływały ludzi na ganki, niektórzy wynosili zydle przed domy, zbierali się grupkami. Muzyka wyzwalała żarty, sprzyjała snuciu rozmów, czyniła nastrój świątecznym. „Cicha woda”, „Wiśniowy sad”, „Dzieci Pireusu”, „Besame mucho” – to tylko pierwsze z brzegu tytuły największych przebojów z tamtych lat. Były one puszczane po kilka razy z rzędu – dziewczyny tańczyły

ze sobą, a chłopcy je zaczepiali z papierosami w zębach, śmiejąc się i czyniąc głośne uwagi.

Płyty puszczał największy po kinomechaniku specjalista – chłopak, który przyjeżdżał do krewnych z miasta. Głuchy na wszelkie prośby, konsekwentnie realizował swój repertuar, zresztą dużego wyboru nie było. A tymczasem przy wejściu do stodoły na stojaku stał już zmontowany projektor, na przeciwległej ścianie jaśniało prześcieradło ekranu. Powoli zapadał zmrok, chowające się za horyzontem słońce gubiło ostatnie promienie, ale niebo było jeszcze jasne.

– Zaczynaj, zaczynaj! – rozlegały się głosy przed stodołą. Ze wszystkich stron na rowerach i motocyklach, pojedynczo i grupkami wciąż napływali ludzie. Kinomechanik jeszcze kilkakrotnie pytał o godzinę, potem w towarzystwie swych pomocników zaczął wypraszać z „sali” niecierpliwych: rozpoczynała się sprzedaż biletów. Powstawał z tym pewien mankament, bo ciągle ich brakowało i trudno było określić, kto już płacił, a kto nie. Zwiększało się grono pomocników, które też nie kwapiło się do płacenia, długo pomocnicy wyliczali swe zasługi i zwlekali. W dodatku stodoła była nieszczelna… Tłumy napierały, domagano się filmu, muzyka już nie grała. Szczęśliwcy usadawiali się w najlepszym miejscu – w pobliżu ekranu. Kiedy wszystkie ławki zostały zajęte, siadano gdzie się tylko dało – na skrzyniach i różnych pudłach, kawałkach desek, wreszcie na

toku, to jest na ubitej ziemi. Sprytniejsi wdrapywali się wysoko aż pod dach – na belki i rozłożone na nich drągi, lokowali się na mocowaniach stodoły. Mistrz wieczoru machnął w końcu ręką na wchodzących na gapę i zakrzątał się przy aparaturze.

I oto zgasła jedyna żarówka, zawieszona wysoko na drucie. Jak świętojańskie robaczki rozjaśniały ogniki papierosów wbrew surowemu zakazowi palenia. Przez moment było tak cicho, że słychać było odgłosy szczekania psów, potem rozległ się chichot, szybko zagłuszony przez gwizdy i tupanie nogami. Ktoś krzyknął: „Majstra na mydło!" – i w stodole zapanował nieopisany rozgardiasz. Ale oto smuga światła prześlizgnęła się ponad głowami, przesączając się przez kłęby dymu i rozbłysła na ekranie. Ostrość obrazu pojawiła się nie od razu, lecz nie była to sprawa istotna – wszak na napisy i tak nikt nie zwracał uwagi. Po chwili wszyscy żyli losami bohaterów filmowych, a troski ulatywały gdzieś daleko – i nie daj Boże, żeby się urwała taśma!

Siedzieliśmy z zapartym tchem blisko ekranu, a przed nami snuł się świat daleki i wyśniony, w którym tak wiele się działo! Jakimże kontrastem wydawał się on wobec dusznej stodoły, w której mieszały się zapachy taniej wody kolońskiej i siana, samogonu i cebuli, potu i łuskanych pestek… Ta dziwna mieszanina zapachów kojarzy mi się jednak dzisiaj z niekłamanym urokiem objazdowego kina. Kina, które zawsze miało happy end.

Staruszka z Zamkowej 42



Wilno, ul. Zamkowa

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Przechodziłem obok niemal codziennie. Nie pamiętam, od kiedy zaczęło mnie intrygować skromne mieszkanko przy ulicy Zamkowej 42, *vis á vis* cerkiewki piatnickiej. Nie zwróciłbym chyba uwagi na to wcale, gdyby w tej części starówki nie zaczęła zachodzić wielka zmiana. Po otwarciu punktu usługowego Fuji Film – o jasnych kolorach, nieskazitelnym połysku okna-witryny, zainteresował mnie kontrast. Nie tyle między tynkiem, pełnym zacieków i liszajów, a odremontowanym kwadracikiem Fuji, co między sąsiadującymi ze sobą drzwiami. Jedne – eleganckie, przeszklone we wzorki, o lśniących klamkach, drugie – dosłownie metr dalej – odrapane, ze szczelinami, drążonymi przez pazur czasu, poobijane, z powyginaną framugą, sterczącymi gwoździami, jakimś rdzawym żelastwem, które służyło za klamkę.

Wtedy i pojawiła się ciekawość dowiedzenia się, co się kryje za tymi szpetnymi drzwiami, za oknem, w którym kwitły pelargonie na tle zżółkłej firanki.

Mieszkankę tego kąta ujrzałem pewnego wiosennego, ciepłego popołudnia. Stara i zgarbiona, siedziała na mocno sfatygowanym, staromodnym krześle, owinięta chustą, patrzyła w dal. Ponad gwarny plac przed cerkwią, gdzie uliczni handlarze obrazami głośno i natarczywie zachwalali swój kiczowaty towar. Siedziała w otwartych drzwiach, obitych oberwaną miejscami ceratą, spod której wyłaziły kawałki brudnej waty. W drzwiach poruszała się

na lekkim wietrze kotara o nieokreślonym, wypłowiałym kolorze. Na kolanach trzymała białego kota w czarne ciapki. Nie licząc ścian, w tym miejscu miasta kobieta tworzyła jedyny punkt nieruchomy.

Potem staruszkę, siedzącą na swym krześle, z nieodłącznym kotem na kolanach, w okresie letnim widywałem często, przez parę lat stale. Pojawiała się, kiedy świeciło słońce, czasami była opatulona w ciepłe łachmany. Szczelnie zawiązana chustka świadczyć mogła o chorobie uszu, wydawało się, że mogła mieć problemy i ze wzrokiem. Była jakby nieobecna, niedzisiejsza, przypominała epokę, która dawno minęła.

Parę razy chciałem do niej zagadać. Kiedy raz powiedziałem „Dzień dobry”, kobieta pozostała nadal nieruchoma jak posąg. W jej oczach jednak pojawił się niepokój. Nie ponawiałem więc dalszych prób nawiązania rozmowy. Czasem, kiedy przechodziłem obok i widziałem ją w tej samej zastygłej postaci, miałem wrażenie, że to fatamorgana, jaka nawiedza zakątki miasta, w których do późna płynie gwarny potok ludzki, gdzie nie ma miejsca na zatrzymanie się i chwilę zadumy. Żeby nie spłoszyć kobiety, pozdrawiałem ją z daleka kiwnięciem głowy. Choć trudno powiedzieć, czy choć raz odwzajemniła tymże, to w jej oczach już nie było niepokoju, jaki odczułem przy pierwszym powitaniu.

Tymczasem obok przybywało eleganckich biur, restauracji i kawiarni, sklepów z zagranicznymi towarami i napisami. Większość mieszkań zmieniła swych właścicieli, w tynkach pojawiało się coraz więcej odnowionych fragmentów. Miasto niczym ciasto pozyskało wiele słodkich dodatków, ale jakby bez kalorii. Pojawiały się wciąż sklepy o nowych zapachach, dekoracje w postaci sztucznych palm, innych egzotycznych roślin, znaki renomowanych firm w nocy rozświetlano kolorowymi światełkami, które odbijały się w lustrach witryn.

Staruszka nadal miała jedno swoje okno na świat. Z popękanymi, zakurzonymi szybami, lufcikiem, zamykanym na przedwojenny haczyk. Wciąż te same uporczywie kwitły pelargonie. Wciąż te same drzwi, w których siedziała na tym samym krześle, łączyły ją, a może oddalały ze światem zewnętrznym. Tak samo też była ubrana – ze swą nieodłączną chustą. I wzrokiem, utkwionym w dal.

Kiedy wróciłem z krótkiej podróży, przy Zamkowej 42 nie zobaczyłem dawnego, zastygłego w czasie widoku. W oknie, gdzie kwitły pelargonie, niczym na zdjęciu z kolorowego magazynu, w subtelnym oświetleniu ułożone były wyszukane akcesoria maleńkiego, lecz bardzo ekskluzywnego sklepiku z herbatą. Sympatyczna ekspedientka, kiedy wszedłem nareszcie do dawno obserwowanego pokoiku, z uśmiechem i pewna dozy kokieterii doradzała mi, jaką wybrać herbatę. Ostatecznie

poprosiłem o pudełeczko Earl Grey’a. Dość długo i bardzo pięknie je opakowywała. Pomyślałem o starej brzydkiej kobiecie i nie potrafiłem już jej wyobrazić sobie mieszkającą w tym miejscu.

Czy ona kiedyś w ogóle tu była?



Wilno, ul Zamkowa. Dawna pocztówka.

Spacer nad Credit River. Część 2.

Ewa Stachniak *(Toronto)*

Tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki



Fot. Jacek Gwizdka.

Schodząc z naszego domu do Credit River trzeba przejść koło małego jeziorka. Gdyśmy się tu wprowadzali, jeziorko było dwa razy większe, ale z każdym rokiem pomniejsza je gromadzący się u brzegów muł i z upływem czasu brzegi zarosła kwiecista fioletowa krwawnica, tłamsząc inną wegetację. Jednakże kiedy szłyśmy tamtędy z mamą owego lipca, widziało się jeszcze kwiaty dzikiej marchwi i nawłoci, a między nimi tylko niewielkie wysepki fioletu.

Ojciec umarł przed siedmioma miesiącami i niepokoiłam się wciąż o mamę. Sprawiała czasami wrażenie zagubionej, jakby mózg jej się kurczył i obluzowywał, niczym orzech wysychający w łupinie. Przez większość czasu nie dostrzegało się nic, aż nagle jakaś drobna rzecz wprawiała ją w panikę, na przykład niemożność przypomnienia sobie, gdzie zostawiła okulary. Mogła z tobą rozmawiać i raptem się zrywała, biegła do swojego pokoju, sprawdzić, czy ma w torebce okulary albo gdzie schowała klucze do swego warszawskiego mieszkania. Zdarzało jej się to dwa, trzy razy w ciągu godziny, tak jakby żadna z poprzednich kontroli nie była wystarczająca.

Mama szła szybko, tuż koło mego boku. Kącikiem oka widziałam jej lekko zgiętą postać, rwącą do przodu. Raptem się zatrzymała, żeby zrobić głęboki wdech, jakby pijąc powietrze, łykając każdy jego haust i wydychając go z długim westchnieniem. Linie na jej policzkach się pogłębiły. Schudła, dłonie zrobiły jej się kościste,

ostre. Rano spała długo, śniadania przygotowywałam jej obfite, z zupą mleczną, wędliną, jajecznicą. Myłam i krajałam rzodkiewki, paprykę, dymkę. Jadła zachłannie, po czym upierała się przy ręcznym zmywaniu, żeby nie zużywać zbyt wiele wody.

– Jak tu spokojnie – mówiła – tak cicho.

Uważałam, że to dobry znak, że wszystko jeszcze przed nami.

Pogrzeb, o którym mama mówiła, nie był to pogrzeb ojca. Miała na myśli pogrzeb swego starszego brata, Tadka, który umarł w 1955 roku. Miał trzydzieści cztery lata i zginął w wypadku motocyklowym. Nikt wówczas nie nosił kasków; było mokro; usiłował wyminąć rowerzystę. Jego pasażer i rowerzysta wyszli z wypadku bez szwanku, Tadek żył jeszcze tylko kilka godzin.

– Umarł nie odzyskawszy przytomności – powiedziała mama.

Pamiętam wujka mętnie i tylko dlatego, że mi go przypominano. Kiedy umarł miałam trzy lata. “Nie pamiętasz? – dziwiła się babcia załamującym głosem.- Nie pamiętasz, jak cię lubił? Nazywał cię K ę d z i o r e k” – i wkrótce zaczynało mi się wydawać, że go pamiętam. Gdzieś wśród papierów mam do dziś czarno-białą fotografię wujka Tadka w trumnie, w czarnym garniturze, z twarzą na zdjęciu nieostrą, lecz surową. Przez jego prawą skroń przebiega cienka, popszarpana linia, blizna.

Byłyśmy nad morzem, gdy to się wydarzyło. Na wakacjach. Rano kopałam dołki w miękkim, mokrym piasku na skraju plaży, okładałam je muszlami i czekałam, aż fale Bałtyku wypełnią je słoną wodą. Po południu siedziałam w zatłoczonym pociągu, między mamą a babcią, obiema z bladymi twarzami, trzęsącymi się rękami. Na wszystkie pytania słyszałam upomnienia, żebym, na miłość Boską, cicho siedziała. Wiele lat później mama mi powiedziała, że nie wiedziały wówczas, co się właściwie stało. Kiedyśmy przyszły z plaży, czekał na nas w domu telegram od dziadka: "Syn nie żyje stop wracajcie natychmaist stop".

W roku śmierci Tadka na naszej ulicy straszyły jeszcze ruiny, wielkie kupy gruzu, porosłe trawą, łopianem, kępkami kłujących ostów. Po zakończeniu wojny ojciec wygrzebał spośród ruin dwa skórzane fotele, białe żelazne łóżko, dębowe biurko, parę pogiętych garnków. Pokleił nóżki foteli, wyprostował garnki, w okna wprawił grube metalowe pręty.

– Byłaś wtedy takim grzecznym dzieckiem – mówiła mama. – Potrafiłaś się godzinami bawić sama. Nigdy się nie dąsałaś ani nie płakałaś. – Przypominała, jak siedziałam przeglądając grube białe kartki przedwojennej encyklopedii, która stała na półce; szczególnie interesowały mnie plansze przedstawiające części ciała ludzkiego, każda chroniona cienką mleczną bibułką. – Mogłaś się w nie wpatrywać bez końca – ciągnęła mama, a ja zachodziłam w głowę, co mogło mnie w nich tak fascynować.

Zwoje mięśni, żył i arterii czy też surowa prostota kośćca? – Przez jakiś czas myślałam, że zostaniesz lekarką – powiedziała mama z nutką rozczarowania w głosie, którą starała się stłumić. – Mniejsza o to – zakończyła i machnęła ręką.

Wszystko, co pamiętam z tego okresu, to babcię z nabiegłymi krwią oczyma, wargami zaciśniętymi w grymas bólu, śladami zębów na kostkach dłoni. Chodziła w czarnej sukni i czarnych pończochach, wychodząc nakładała czarny kapelusz z woalką. Wieczorami przesiadywała w mroczniejącej kuchni, wolno obracając pierścionki na palcach. Potrafiła tak siedzieć godzinami, wpatrzona w szarzejące okno, szkielet domu naprzeciwko, z kikutami ścian i pustymi ramami okien. Kiedy zapalałam światło, mierzyła mnie takim wzrokiem, jakby ujrzała ducha.

– Wypłakiwałam sobie oczy po śmierci Tadka – powiedziała mama. – Teraz już nie potrafię płakać. Nawet po moim mężu.

Z warg ocierałam jeszcze ze wstrętem lepkie nitki przędzy, chociaż wyszłyśmy już na otwartą przestrzeń nad rzeką, gdzie już ich nie było.

– Tak ci powiedziała? – zapytałam. – Babcia ci tak powiedziała?

Czułam wzbierający gniew, który mi podchodził pod gardło.

– Tak – odparła mama. – Zaraz po pogrzebie powiedziała: “Wolałabym, żebyś to ty zginęła zamiast niego”.

– A coś ty jej odpowiedziała? – spytałam.

– Nic – odrzekła mama przyśpieszając kroku.

Na policzki i szyję wystąpiły jej plamy, czerwone, nabiegłe krwią. Kiedy się z nią zrównałam, nie patrzyła na mnie, jej oczy biegały na boki, na drzewa, na rzekę. Wszędzie, tylko nie na moją twarz. Ale ja nie miałam zamiaru ustąpić.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Kochała go bardziej – wyznała wtedy. – Był jej synem. – Ważyła każde słowo wypowiadając je, jakby nim zdumiona, ogłuszona. – Tego nie można odmienić.

***

Kiedyś próbowałam opowiedzieć Patrickowi o moim pierwszym dniu w Kanadzie. Leżeliśmy w łóżku, przywarci do siebie, zlani potem, nasze serca dudniły krwią. Przebiegałam palcami po włosach na jego piersi, robiłam w nich małe korytarzyki, potem je wygładzałam. Łóżko było skotłowane, skrzypiało lekko za każdym naszym poruszeniem. Zrobiłam głęboki wdech, usiadłam,

z poduszką pod plecami, i powiedziałam mu, jak wszystko w Kanadzie, nawet śmieci w pojemnikach, wydawało mi się niewiarygodnie kolorowe i jak się włóczyłam godzinami po ulicach, gapiąc się na wystawy, chora z zazdrości.

– To wspaniałe! – pochwalił ze śmiechem, tak jakbym powiedziała coś szczególnie inteligentnego, utrafiła w jakieś sedno, o którym nie miałam pojęcia. – Tak być powinno!

Twarz Patricka wyglądała śmiesznie na łóżku, odwrócona, z uśmiechem zakrzywionym w dół, oczami przymkniętymi od góry. Przesunęłam palcami po jego wargach, pociągnęłam go za wąsy, a on chłapnął zębami, ale nie dość szybko, żeby złapać moje palce. Roześmiał się. Śmieliśmy się oboje. Potem się obrócił, pociągnął mnie za nogi, tak że zjechałam z poduszki, wylądowałam obok niego i czekałam, aż rozsunie mi językiem zęby. Ramiona miał silne, gładkie, pachnące mydłem.

Opowiadania Patricka nie płynęły gładko. "Nie mam gadanego" – mawiał i ustawał akurat w miejscu, gdzie jego opowieść zaczynała się stawać ciekawa. Zrobiłam się mistrzem delikatnych ponagleń, słów obracających się w pieszczotę.

Patrick miał osiemnaście lat, kiedy komisja poborowa w San Francisco wezwała go na badania lekarskie. "Jak człowiek przeszedł, to był ugotowany!" – oświadczył unosząc lekko

podbródek, wygładzając wierzchem dłoni rudawą bródkę. Opowiedział mi o wezwanych, którzy zażywali proszki na pobudzenie tarczycy, objadali się cukrem i symulowali cukrzyków. Opowiedział o pewnym facecie, który się przebrał za kobietę i rzucił do całowania sierżanta z komisji. Próbowałam sobie wyobrazić Patricka jako amerykańskiego hippisa w rozkloszowanych spodniach, etaminowym wdzianku, ze skórzanym naszyjnikiem z paciorków i białych kłów, krocżącego w marszu protestacyjnym.

Kiedy otrzymał powołanie, ojciec dał mu samochód, wręczył dwadzieścia tysięcy dolarów i kazał uciekać na północ. Wyobraziłam sobie, jak jedzie swoim żółtym Volkswagenem garbusem do Kanady, z długimi włosami, z czerwoną chustą na szyi. Wizę stałego pobytu otrzymał od razu na granicy. Jadąc ściskał kierownicę tak mocno, że go jeszcze długo potem bolały dłonie, ale nie uważał, że zdradza swoją ojczyznę.

“Nie chcę wracać do kraju w trumnie – rozumował. – Nie będę umierał za imperialistycznego molocha ani palił jakichś pieprzonych nędzarzy napalmem”.

Był wówczas marksistą. W pokoju miał afisz z podobizną Mao, palił haszysz i podziwiał chińską Czerwoną Gwardię.

– Czerwoną Gwardię? – zapytałam. – Podziwiałeś Czerwoną

Gwardię?

– Uważałem, że świat trzeba zmieniać… – zaczął i urwał.

– Przez zabijanie nauczycieli, zsyłanie ludzi na reedukację do obozów pracy? – zapytałam wciąż nie dowierzając własnym uszom.

W Polsce wiedzieliśmy, że jest nam źle, ale nawet w najgorszych okresach, kiedy w sklepach był tylko ocet i groszek w puszkach, nigdy nie zamienilibyśmy się z Chińczykami.

– W tamtych czasach bym ci powiedział, że gwardia narodowa strzela do protestujących studentów na unwersytecie w Kent.

– A teraz? – zapytałam.

– Teraz bym powiedział, że byłem idiotą, zaślepionym idiotą – odparł, a ja czułam jedynie, jak jego język sunie po mojej szyi, pozostawiając wilgotny ślad.

Patrick był uprzednio żonaty i ma dwie córki, Daisy i Heather, dziewiętnasto- i szesnastoletnią. Daisy została właśnie przyjęta na Uniwersytet Trent, ale odmówiła uczęszczania na jakiekolwiek kursy biznesowe. Postanowiła zamiast tego iść na studium zagadnień kobiecych. Gdyby miał ponownie dzieci,

mówił Patrick, wychowałby je w żelaznej dyscyplinie, posyłał do najlepszych prywatnych szkół w kraju. Nigdy więcej tych permisywnych psychedelicznych pierdołów, którym tak długo hołdował.

Czemu, zapytałam go kiedyś, gdy właśnie od nich wrócił i chodził tam i z powrotem po pokoju, zatrzymując się tylko, żeby wyjrzeć przez okno. Działało mi na nerwy to jego wyglądanie, jakby oczekiwał czyjegoś nadejścia, nadejścia osoby, której nawet nie znam.

– Żeby im dać szansę w życiu – odparł. Usiadł wreszcie, wyciągnął nogi na tapczanie. – Żeby nie były takimi ofiarami. Umiały się bronić. Świat się kurczy, a one marnują czas.

Na skarpetach miał drobne supełki zmechacenia, zanotowałam sobie w pamięci, żeby je wyrzucić.

– To moja wina – powiedział uderzając pięścią w dłoń, co też już nie raz widziałam. -Powinienem je był trzymać twardą ręką.

Westchnęłam i wyszłam do kuchni, kończyć obiad. Patrick przyszedł za mną. Był zawsze taki po widzeniu z córkami, drażliwy, poirytowany. Zdumiewało mnie nieodmiennie, jak jawnie maluje się to na jego twarzy, jak zwęża i zagina się jego górna warga, jak ściągają i rozszerzają się tuż pod skórą

naczyńka krwionośne.

Ułamał kawałek bagietki, którą właśnie przyniosłam ze sklepu. Była jeczcze ciepła, okruszki sypały się po całej podłodze. Jadł za dużo, pod białą koszulą widziałam jego zaokrąglający się brzuszek. Kotlety były gotowe, wszystko, co mi pozostało, to rozetrzeć kartofle na purée w mikserze. Kiedy skończyłam, Patrick starł palcem z jej krawędzi puszystą białą masę i oblizał palec do czysta.

***

Erindale Park stanowił tego lata schronienie przed falą upałów; dało się tu wciąż swobodnie oddychać, spacerować nie zalewając się potem. Po rzece brodzili rybacy w długich zielonych gumiakach. Łowili teraz pstrągi. Na jesieni mieli wyciągać wielkie zielonkawe łososie, które płynęły pod prąd składać ikrę. Pod koniec października brzeg będzie usłany ich gnijącymi zewłokami, odciętymi łbami o rozdziawionych szczękach i wyłupiastych, martwo ślepiących oczach.

Mam wiele fotografii babci. W młodości była elegancką kobietą. Na jednym ze zdjęć siedzi na ławce, z nogą na nodze, z dłońmi splecionymi na kolanie. W tle landszaft z drzewem i rzymskimi ruinami, kolumną przeciętą w połowie, zakrzywionym portalem u dołu. W latach 1930 taka sceneria uważana była widać za

romantyczną. Twarz babci okalają ciemne loki, jej oczy były już wówczas puste, melancholijne, zranione. Na rok przed śmiercią obcięła krótko włosy, zaczęła nosić długie kalesony, spodnie, pantofle na płaskim obcasie. W ciężkim, podbitym futrem palcie wyglądała jak żołnierz maruder.

W sercu nosiłam gniew na babcię. Miałam jej za złe wiele rzeczy. Szepty w kuchni, sposób, w jaki mi wykręcała rękę.

– Miejsce matki jest w domu, a nie w tym jej i n s t y t u c i e. – Wymawiała to słowo jak obelgę, ostro, z naganą, głośniej niż inne. – Zadzwoń do niej – żądała – zobaczymy, czy rzeczywiście tam jest.

– Dlaczego?

– Dzwoń. Rób, co mówię! – syczała, a ja nakręcałam numer instytutu i prosiłam telefonistkę, żeby mnie połączyła z mamą.

– Co takiego? — Głos mamy był w pierwszej chwili zawsze wystraszony.—Stało się coś?

– Nie, nic takiego – mówiłam.

Widziałam ją, jak stoi w swojej małej pracowni z zapachem formaliny i kurzu, prawą dłonią trzymając się za to miejsce nad

sercem.

– Zapytaj ją, kiedy wróci – przynaglała babcia trącając mnie łokciem.- Zapytaj własnej matki, kiedy wróci do domu, do rodziny.

– Kiedy wrócisz? – pytałam potulnie.

– Niedługo – odpowiadała mama, roztargniona teraz, pochłonięta już czym innym. Nasz telefon był czarny, słuchawka ciężka. Głos dobywał się z niej zniekształcony, jak z głębokiej, wąskiej studni. – Nie czekajcie na mnie z obiadem. Zaczynajcie jeść sami.

– Co powiedziała? – dopytywała się babcia. – Co powiedziała?

– Żeby na nią nie czekać z obiadem – odpowiadałam i uciekałam.

Ale nie mogłam nie słyszeć głębokich westchnień babci i zbyt głośnego brzęku talerzy, których omal nie rozbijała. Co do taty zaś, to zbywał milczeniem zatrute strzały, jakie wysyłała babcia.

– Miejsce żony jest w domu – obwieszczała przy stole – a rzeczą męża jest tego dopilnować.

Tata kiwał głową i podnosił do ust łyżkę z zupą.

– Wyśmienita zupa, mamo – mówił. – Co za smak.

– Robię, co mogę, ale są granice. W sklepach pustki – burczała babcia i przenosiła uwagę na mnie. – Nie mlaskaj. Siedź prosto. Łokcie ze stołu.

– Słuchaj babci – wtórował tato, a ja mu posyłałam wściekłe spojrzenie.

Kiedy mama wreszcie wracała, zjadała co babcia postawiła przed nią na talerzu, po czym ucinała swoją drzemkę. To jej sekret, powtarzała zawsze, ta jej zdolność zasypiania o każdej porze dnia, we wszystkich okolicznościach. Kiedy nadchodziła pora, żeby ją obudzić, otrząsała się ze snu z trudem, jakby powracała z drugiego końca świata, twarz miała pomiętą i czerwoną, toczyła wzrokiem dokoła pokoju, próbując zrozumieć, gdzie jest i co to wszystko znaczy. Siadała, rozcierała twarz dłońmi, po czym szła do kuchni pomagać babci. Słyszałam znad odrabianych lekcji ich wznoszące się i opadające głosy. Długie monologi babci i krótkie przytakujące mruknięcia mamy.

– Zawsze jej przytakiwałaś – wypaliłam, kiedy mama się schyliła po jakiś odłamek skalny.

Przed zakrętem rzeki było odsłonięte zbocze skalne. Tablica ostrzegała: “Uwaga! Spadające kamienie!” Mama oddzieliła

płaską warstwę łupka, przełamała ją w pół. Pokrywały ją długie linearne wzory.

– Nic szczególnego – powiedziała odsuwając łupek dalej od oczu. – Cefalopody i korale. – Kamień powrócił na usypisko. – Może nie powinnam ci była tego mówić – odezwała się po chwili. – Nie chciałabym, żebyś tak pamiętała babcię.

– A jaką chcesz, żebym ją pamiętała? – zapytałam głosem zbyt wysokim, zbyt napiętym, żeby tego nie usłyszała.

Mama się zatrzymała i stała, jak mi się wydawało, zbyt długą chwilę. Przestraszyłam się, że zapomniała, co mi ma powiedzieć, ale się myliłam.

– Chcę, żebyś pamiętała, że bez jej pomocy nigdy bym sobie nie dała rady – powiedziała. -Nigdy bym nie była w stanie połączyć pracy i rodziny. Nigdy. – Po czym, ruszając do przodu, obróciła się do mnie i szepnęła: – A nigdy naprawdę nie pragnęłam niczego innego.

Nim doszłyśmy do zakrętu rzeki, mama zwolniła kroku, więc zaproponowałam, żebyśmy wracały. W domu mama ucięła sobie popołudniową drzemkę, a ja usiadłam w kuchni i oglądałam dziennik na małym telewizorku. Konflikt w miasteczku Oka się zaostrzył. Drogi do cmentarza Indian Mohawk w Kanestake

zostały zablokowane, padły strzały. Na ekranie widziałam czołgi i żołnierzy w mundurach khaki ustawiających się w szyk bojowy. Potem kamera przesunęła się na grupkę Indian w koszulkach i dżinsach z obciętymi nogawkami, którzy bili w bębny i śpiewali.

– Koszt ogólny konfrontacji w Oka wyniesie wkrótce ponad dwieście milionów dolarów – powiedział później ktoś w wywiadzie telewizyjnym. – Przekracza to znacznie wartość rynkową terenów, do których Mohawkowie roszczą sobie pretensje, a które miasto chce przeznaczyć na tor golfowy.

Minęła może godzina, gdy mama wyłoniła się ze swego pokoju z wyrazem popłochu na twarzy.

– Znalazłam to w swoich rzeczach – oznajmiła wręczając mi czerwoną chustę. – Ty ją tam położyłaś?

– Dałam ci ją – odparłam. – Nie pamiętasz?

– A, rzeczywiście, dałaś – powiedziała trochę za szybko. Zmarszczyła czoło i zdawało mi się, że widzę w jej oczach łzy. – Jaka ja niemądra! Oczywiście, że mi dałaś!

Wieczorem byłyśmy obie w kuchni, przygotowując obiad. Ja właśnie zbiłam sześć kawałków wieprzowiny na kotlety, a mama wcierała czosnek i majeranek w różowe mięso, kiedy kącikiem

oka dostrzegłam w ramie drzwi Patricka, rudawość jego brody i jego wysoką muskularną sylwetkę. Miał na sobie koszulkę i dżinsowe szorty, w jednej ręce trzymał trzy kieliszki, w drugiej butelkę merlota. Otworzył butelkę, nalał do swojego kieliszka odrobinę wina i przed spróbowaniem podniósł go do światła, podziwiając rubinową barwę trunku. Widziałam, jak kiwa kilkakrotnie głową z uznaniem, nim podniósł kieliszek do ust.

– O czym, panie, tak rozprawiacie przez cały dzień? – spytał.

Mama posłała mi pytające spojrzenie, więc jej przetłumaczyłam.

– O niczym, kochany – odparłam. – Mama opowiada mi różne stare historie.

– To świetnie.

Patrick ma miły głos, kiedy chce się przypodobać. Gładki, miękki, słodki jak miód. Głos podobał mi się w nim od początku, kiedy jeszcze musiałam z niego wyciągać opowieści, historyjki z okresu jego kalifornijskiego dzieciństwa, wszystko, co pamiętał. Jak to było, kochać się w wielkich amerykańskich krążownikach szos nad brzegiem oceanu? Migdalić się, iść na całość?

– Fiu! – odpowiadał ze śmiechem. – Chcesz spróbować?

Mama siekała teraz cebulę w maleńkie, doskonale równe, mięsiste kostki. Zapaliła świece, żeby oczy nie łzawiły jej od zapachu cebuli.

– Obawiałem się, że rozmawiacie o mnie – powiedział nalewając wino do trzech kieliszków. Podał je nam, po czym zapytał: – Czy wszystko w porządku?

Obróciwszy się zobaczyłam, że mama ma wzrok utkwiony w twarz Patricka, w jego lekko wyłupiaste oczy, w czerwonawe fałdki skóry pod nimi. Kręciła głową, jakby coś było niezupełnie w porządku, ale ona nie może, jak na razie, zdecydować, co to takiego. Pamiętam, że doznałam potem uczucia nieokreślonej satysfakcji, gdy dostrzegłam, jak mama marszczy czoło.

– Więc za zdrowie pięknych pań! – powiedział Patrick unosząc z niepewnym uśmieszkiem kieliszek. – Za to się pije w Polsce, prawda? I diablo słusznie!



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Pierwsza część opowiadania:

https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-1/

Opowiadanie ukazało się w „Odrze”.

Spacer nad Credit

River. Część 1.

Ewa Stachniak *(Toronto)*

Tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki



Fot. Jacek Gwizdka.

– Tuż po pogrzebie – głos mamy brzmiał, jakby mówiła o rzeczy zwyczajnej, wręcz błahej – twoja babcia powiedziała: “Wolałabym, żebyś to ty zginęła zamiast niego”.

Schodziłyśmy z mamą wąską, wijącą się ścieżką do Erindale Park. Mama właśnie przyjechała z Polski, miała pobyć z nami dwa, trzy miesiące, ostatnia tak daleka i długa podróż jej życia. Do naszych policzków i ust lepiły się niewidzialne pajęczyny, na cienkich nitkach zwisających z drzew kołysały się małe żółtawe gąsienice. Nigdy nie widziałam ich tyle. Machałam przed sobą ręką, jakbym odganiała komary, ale niewiele to pomagało. Mama przewiązała sobie usta i nos czerwoną chustką, którą jej dałam. Wyglądała jak zamaskowany Indianin z dziennika telewizyjnego, jeden z tych wojowników ze szczepu Mohawk, którzy blokowali drogę do miasteczka Oka w Quebecu.

Wtedy łudziłam się jeszcze, że jesteśmy z Patrickiem szczęśliwi. Budziłam się rano z uczuciem uniesienia, które mnie nie opuszczało przez cały dzień. Wieczorami zapalałam świece i podawałam obiad na miśnieńskiej porcelanie, którą przywieźliśmy z Europy. Patrick otwierał butelkę naszego najlepszego merlota, który mama piła drobnymi, nieuważnymi łyczkami, jakby to była woda. Od pierwszego dnia jej pobytu, gdy oczy kleiły jej się jeszcze po zmianie czasu, snułam plany czekających nas wycieczek. Pokażę jej wszystko, co warte zobaczenia, obiecywałam, a później wynajmiemy domek nad Georgian Bay i będziemy się wszyscy razem cieszyli kolorami jesieni.

– Czy to nie za kosztowne? – zapytała zaciskając wargi w wąską,

cienką linię i rzucając mi niespokojne spojrzenie.

– Czy to ważne? – odparłam. – Możemy sobie na to pozwolić.

W tym czasie Patrick nosił jeszcze brodę, gęstą, rudawą, zgrabnie przystrzyżoną, jej włoski sprężynowały pod moim dotykiem, powracały do pierwotnego kształtu jak gąbka. Poczułam, jak jego stopa przesuwa się pod stołem po mojej łydce. Mama nie spuszczała ze mnie oczu, wprawiało mnie to w zakłopotanie. Nie chciałam, żeby się czuła u nas nieswojo, miała wrażenie, że nam zawadza. Odepchnęłam jego stopę i przestał.

***

Mama była paleontologiem. Przez czterdzieści lat badała skamieliny ryb, ciemnobrązowe szkielety uwięzione w zwartych warstwach karpackich łupków. Ojciec powiedział mi kiedyś, że z tych skamielin potrafi ona określić głębokość pradawnych mórz, skład ich wód, rodzaj prądów i pokładów geologicznych na ich dnie. Co lato wyjeżdżaliśmy wszyscy do podkarpackich wiosek z ich wozami konnymi, cuchnącymi wygódkami i kopcącymi lampami naftowymi. Od miejscowych chłopów wynajmowaliśmy pobielane izby, w których nad chwiejnymi łóżkami z siennikami wypchanymi słomą wisiały obrazy Chrystusa z obnażonym gorejącym sercem.

Codziennie rano mama, tato i kilkoro studentów, którzy z nami przyjeżdżali, szliśmy na odkrywki. Co roku obiecywałam sobie, że się do tego zapalę, i przez pierwsze kilka dni łupałam warstwy skalne z nadzieją, że odkryję jakiś rzadki okaz, coś, czego mama nie odrzuci za jednym rzutem oka jako "zwykłego śledzia". Ale mój entuzjazm gasł szybko. Gryzły mnie owady, woda w potokach była za płytka do pływania, a mama nie miała czasu na zabawy, odbijała płatami warstwy łupka, rozdzielała je niecierpliwie i odrzucała puste na rosnącą kupę. Zostawałam więc z babcią we wsi. Próbowałam się bawić z wiejskimi dziećmi, ale te miały swoje obowiązki i śmiały się z mojej mowy.

– Co twoja matka tam kopie? – chciały wiedzieć. – Złota szuka?

– Nie – mówiłam żałując, że tego nie robi, pragnąc, żeby robiła cokolwiek, co bym mogła wytłumaczyć.

***

– Nazywają się *gypsy moth* – wyjaśniałam mamie. Nie znałam ich polskiej nazwy, nie znałam też łacińskiej, którą mama by pewnie rozpoznała. – Są w tym roku plagą w całym Ontario.

Wielkie dęby, które mijaliśmy koło ścieżki schodzącej do rzeki, utraciły prawie wszystkie liście. Był dopiero koniec lipca, a całą ziemię zaścielały półzeschłe płatki i gołe łodyżki, szkielety liści,

zielonkawe, pajęczo cienkie.

– Mam nadzieję, że dęby nie uschną – powiedziałam.

Mama wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że nie uschną – odparła. – To dla nich nie koniec świata.

***

Patricka poznałam krótkie parę miesięcy wcześniej, w grudniu 1989, na przyjęciu u znajomych. Właśnie zostałam zwolniona z pracy, a miałam już trzydzieści osiem lat. Był to okres, kiedy pierwsza fala cięć budżetowych dotknęła ontaryjskie uczelnie. Uczyłam nowych imigrantów angielskiego, dopóki pewnego dnia nie zredukowano pięciorga z nas.

Powinnam była wiedzieć, co się szykuje, ale nie wiedziałam. Lubiłam swoją pracę, byłam w niej dobra. Studenci mnie chwalili. Telefon zadzwonił o siódmej rano, parę minut przed moim wyjściem na zajęcia o ósmej. Ktoś z Działu Personalnego, osoba, z którą nidgy dotąd nie miałam do czynienia, zawiadomił mnie, że mam przyjść o czwartej na zebranie.

– Jakie zebranie? – zapytałam. – O co chodzi?

– Tego nie mogę pani powiedzieć – odrzekła kobieta. – Przykro mi, ale takie zarządzenie. Nie wolno mi więcej mówić.

W college'u szef nie chciał się ze mną zobaczyć. Sekretarka powiedziała mi, że jest zbyt zajęty. Mam poczekać do zebrania, to się wszystkiego dowiem. Czułam, że nie może to być dobra wiadomość, ale miałam jeszcze nadzieję.

– Może chcą cię awansować – szepnęła mi z uśmiechem przyjaciółka.

O czwartej nie pozostał mi już cień nadziei. Szef unikał mego wzroku, wręczając mi białą kopertę z moim nazwiskiem.

– Nie jest to sprawa pani kwalifikacji – powiedziała słodziutkim głosem personalna – ani wyników pani nauczania. Decyduje niewielka wysługa lat.

W kopercie, oprócz zawiadomienia o zwolnieniu, były dwie broszury. "Poradnictwo i usługi prawne dla pracowników wyższych uczelni" – głosiła czerwonymi literami jedna z nich. "Jak sobie radzić w kryzysach życiowych" – doradzała druga.

W Polsce mówiliśmy, że nieszczęścia chodzą parami. Parę dni później w kieszeni marynarki mego przyjaciela znalazłam pomiętą kartkę z nazwiskiem i telefonem kobiety. Wykręciłam

numer.

„Cześć! Tu Catherine. Wiecie, jak nie lubię, kiedy mi coś przelatuje koło nosa. Dotyczy to i waszego telefonu. Zostawcie wiadomość albo zadzwońcie jeszcze raz”.

Młody, jędrny głos kobiecy. Prężny, pomyślałam, pewny siebie. Wyobraziłam sobie jej smukłe kształty opięte lykrą, długie kasztanowe włosy. Kasztanowe włosy wzięły się z reklamy w *New Yorkerze*, którą dzwoniąc widziałam kątem oka: młoda kobieta w czarnej sukience bez rękawów, z wężowym uśmieszkiem triumfu na wargach, zaciąga się cygarem. Z ciemności w tle dochodzi męski głos: “Agnes, nie widziałaś moich Don Diegos?”

Kiedy go poznałam, Patrick miał na sobie ciemnopopielaty garnitur, w klapie wpięty emblemat liścia klonowego. Zapach wody kolońskiej otaczał go ostrą piżmową tarczą. Przedstawił się jako konsultant do spraw systemów ochrony środowiska, z ramienia rządu sprzedający technologię kanadyjską do Chin.

– I podoba się panu ta praca? – spytałam.

– Cóż, praca jak praca – odparł przyglądając się z uśmiechem, jak cedzę wino. – Nie mogę powiedzieć, że jej nie lubię. Poza tym nieźle mi idzie. A pani?

Opowiedziałam mu o Polsce. Kiedy z niej wyjeżdżałam w 1982 roku, sklepy były puste, po Warszawie jeździły czołgi, żołnierze czaili się na rogach ulic.

– Ale to już melodia przeszłości, nie? Co pani robi t e r a z?

Rzucił to pytanie z lekkim półuśmieszkiem na twarzy, tym uśmieszkiem filuternego chłopca, jakiemu najtrudniej się oprzeć. To jego t e r a z wprawiło mnie w zakłopotanie. Powiedziałam, że padłam ofiarą redukcji w college'u, ale udało mi się zdobyć parę kursów tu i tam. Robię przekłady, tłumaczę w Departamencie Imigracji. Co się trafi.

– Marnuje pani czas, Yvonne – orzekł.

Już wtedy mi się podobał. Pamiętam, jak patrzyłam na jego dłoń, w której trzymał szklaneczkę whisky, na kształt jego paznokci z wymownymi śladami skaleczeń. Biała nasada paznokcia palca wskazującego wżerała się głęboko w ciało; widać odcięta kiedyś, nie zrosła się nigdy właściwie. To ręce mężczyzny, który się nie oszczędza, pomyślałam, który potrafi zrobić wszystko.

– Jest pani za dobra na takie bzdety – powiedział patrząc mi prosto w oczy, a skóra jego twarzy napięła się i poróżowiała.

Siedzieliśmy od dłuższego czasu na wysokich stołkach barowych,

zaczynały mnie od tego boleć plecy. Pokręciłam szyją, żeby zmniejszyć trochę napięcie mięśni, ale niewiele to pomogło. Oparłam się na łokciu, popatrzyłam na Patricka z ukosa.

– Rynek azjatycki jest przereklamowany, ślepa uliczka, tak ja to widzę. Europa to co innego -mówił – najwyższa pora, żebyśmy się tam załapali.

Święta racja, myślałam. Kiedyśmy to mówili, kruszono betonowe płyty muru berlińskiego, łupano je na pamiątkowe kamyki. Polska przeobrażała się szybko w kwitnący rynek, krainę wielkich możliwości, z giełdą, McDonaldami, pizzeriami, Marriottem i lalkami Barbie o szeroko rozwartych oczach i twardych, spiczastych piersiach.

Kiedy pojechałam do Warszawy na pogrzeb ojca, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Partyjne slogany głoszące wieczną przyjaźń Polski ze Związkiem Radzieckim zostały zastąpione kolorowymi billboardami. Chodniki były zastawione improwizowanymi stoiskami. Cokolwiek się nadawało, stoliki ogrodowe czy łóżka polowe, służyło za punkty sprzedaży ze zręcznie ustawionymi piramidami papierosów malboro, camel, rothmans. Niektóre oferowały francuskie perfumy, niemieckie mydła, wielkie plastykowe butelki szamponu.

– Koniec z kolejkami – powiedziała mama. – Mogę kupić szynkę,

kiedy chcę. Starczy dla każdego. Więc dlaczego musieliśmy się uganiać za wszystkim przez tyle lat?

Siedziałyśmy w nowo otwartej restauracji na Nowym Świecie, mama w swojej czarnej sukni wydawała się taka drobna, jakby głowę zaprzątała jej tylko myśl, żeby zajmować jak najmniej miejsca. Czekałam, kiedy zacznie mówić o ojcu, ale nie zaczynała. A ja nie przynaglałam.

– Nie mogę na to patrzeć – szepnęła do mnie wskazując brodą młodą kobietę w dżinsach, która się sadowiła przy sąsiednim stoliku. – To zgubne dla populacji. – Chodziło jej o obcisłość dżinsów, sposób, w jaki elestyczny materiał przylega do ciała. Wyliczała swoje obiekcje: utrudnia to krążenie krwi, drażni skórę, powoduje infekcje. – I to młode kobiety – dowodziła – w wieku, w którym powinny rodzić.

Pokręciła głową w ten swój komiczny sposób, którego nie znoszę, drobnymi ptasimi ruchami dezaprobaty.

– Może ona wcale nie chce mieć dzieci – powiedziałam i wzruszyłam ramionami.

Nie miałam zamiaru wdawać się z nią w dyskusje, teraz ani nigdy, wytykać jej, że się zawsze troszczy o "populację", a nie po prostu o ludzi. Kiedy byłam mała, starałam się wyobrazić sobie te

pokolenia, o których tak często mówiła, te “banki genów dziesiątkowane przez wojny i powstania”, milczące szare armie mamy, sunące z mozołem przez czas.

– To nie tylko ona, wszystkie to noszą – powiedziała z niedowierzaniem mama, nie pojmując, jak mogę się z nią nie zgadzać.- Chodzi o zdrowie narodu, więc jak możesz coś podobnego mówić.

Zaraz po przyjęciu Partick zaprosił mnie na kolację. Niedaleko stąd jest mała grecka restauracja, Il Paradiso, z gipsowymi kopiami starożytnych rzeźb i winoroślą z jedwabiu rozpięta na jońskich kolumnach. To tam Patrick mi powiedział, że ma dostateczne znajomości w sektorze ochrony środowiska, żeby otworzyć właściwe drzwi w Ottawie. Mogłabym wykorzystać kontakty rodziców w Warszawie, dowodził. Pośredniczyć i tłumaczyć.

– Zarobisz więcej przez rok niż ten dupek, który cię wyrzucił, zarobi przez dziesięć – powiedział ze śmiechem i wypiliśmy za to.

Miał rację. W ciągu trzech miesięcy skompletowaliśmy zespół polskich chemików do produkcji żywic jonowymiennych oczyszczających ścieki przemysłowe. Żywica, tłumaczył Patrick, pochłania jony miedzi, srebra i metali ciężkich, wyzwalając w ich miejsce jony obojętne. W ciągu niewielu godzin jest w stanie

przemienić hektolitry trujących ścieków w nieszkodliwą ciecz.

Jedyny problem stanowiło to, że synteza tych żywic wymaga użycia substancji freonopodobnych, a to naprawdę "śmierdząca sprawa", jak to określił Patrick. Jednym ze sposobów wytwarzania takich reagentów jest produkcja w hermetycznych pomieszczeniach, to jednak byłoby zbyt kosztowne i trudne do zagwarantowania. Innym sposobem byłoby przeniesienie brudnej fazy produkcji na Ukrainę, gdzie przepisy ochrony środowiska są znacznie bardziej liberalne.

– Tam to jest całkowiecie legalne – powiedział Patrick, kiedy się zawahałam. – To kwestia wyboru, Yvonne. Co jest bardziej szkodliwe, nieuzdatnione ścieki spuszczane do waszych rzek czy kilka ewentualnych wycieków i emisji setki kilometrów dalej?

Nie chcę tu zanudzać szczegółami handlowymi, ale faktem jest, że otworzywszy fabrykę w Polsce, byliśmy wkrótce w stanie wytwarzać żywicę taniej niż zakłady Dow Chemicals. "Niczego sobie"- entuzjazmował się Patrick z szerokim uśmiechem. Miał na pieńku z zakładami Dow z dawnych lat, kiedy się dekował przed poborem.

W ciągu roku pozyskaliśmy nabywców w Niemczech i Stanach- zupełnie nieźle jak na początek.

Piliśmy pod ten sukces w klubie Panorama na czterdziestym piętrze hotelu Marriott w Warszawie, skąd nawet Pałac Kultury i Nauki, ten “dar” Stalina dla niegdyś zniewolonego miasta, wyglądał jak nędzna szara zabawka.



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Druga część opowiadania Ewy Stachniak „Spacer nad Credit River” ukaże się we wtorek, 13 sierpnia 2019 r.

Klamki mojego domu



Romuald Mieczkowski

Kiedy zabrakło rodzinnego domu, przez kilka lat dzieciństwo przypominały drzewa z ojcowskiego sadu. Kiedy i ich zabrakło, wywieziono ciężarówkami wiele ziemi, znikło wzgórze, pamiętające ślady naszych stóp – znikły i ostatnie – prawda, coraz bardziej gorzkie – punkty odniesienia, w jakimś stopniu namacalne do obecności mojej rodziny w Fabianiszkach.

Przerwana została ciągłość, o którą tak dbali przodkowie w ciągu wieków, powiększając swe posiadłości ziemskie, uszlachetniając je w drzewa owocowe, w przydrożne aleje lip, zasadzając dęby. Mój udział był niewielki, ale dość wyjątkowy – jodła, którą zasadziłem, przetrwała pozostałe drzewa i padła jako ostatnia.

Wileńszczyźnie nie pozwoliła historia pomnażać rodzinne dobra, pielęgnować pamięć. Rzadko w jakim, nawet zamożniejszym domu, spotkasz portret przodka. Pamięć o dziadach i pradziadach wyręczają w sposób niekompletny czasem stare, pożółkłe fotografie w kredensie, ze starych rzeczy – pamiątek niewiele. Myślę i ja – co mi pozostało po Mieczkowskich, Piotrowskich – od strony matki, nie wnikając głębiej w rodzinne odgałęzienia. Też niewiele – resztki zastawy sprzed wojny – parę talerzy, kilka sztućców srebrnych, trochę szkła, zegar, jakieś drobiazgi. Najstarszy wśród nich – złoty medalik z wizerunkiem Madonny z Dzieciątkiem i napisem: *Mon Dieu le protège us toujurs. 1833 Aug. 24,* który według rodzinnej legendy przekazał ktoś z Francji w burzliwych latach popowstaniowych.

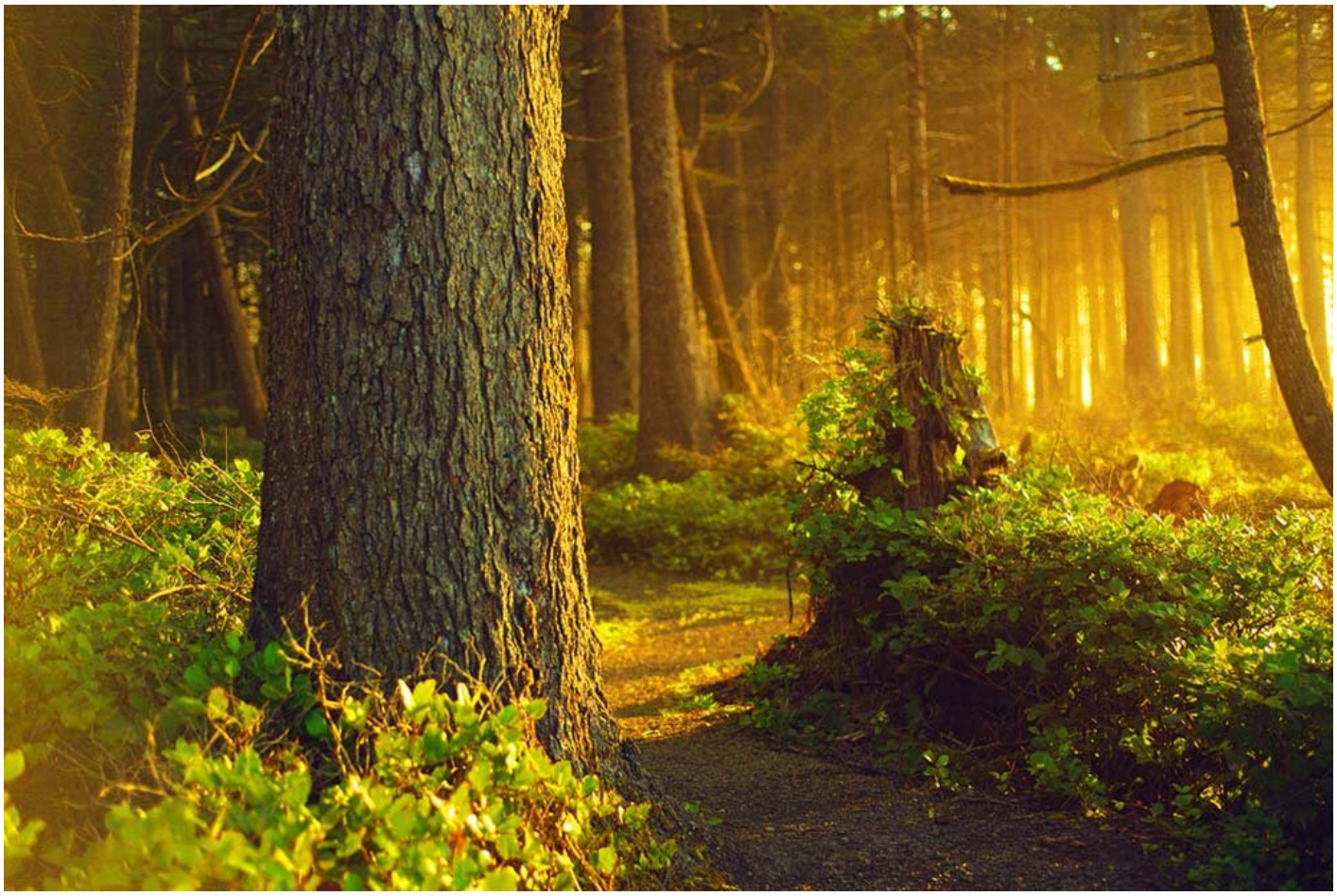
Dotykam jednak każdego dnia lat minionych dotykiem bezpośrednim. Robią to też moje dzieci, nie zdając sobie z tego sprawy. Dzięki klamkom, które w czasie zagłady domu udało się wymontować. Rolę flagowej, strategicznej klamki, strzegącej drzwi od ulicy, pełni lekko zaokrąglony kowalski wyrób z żelaza, surowy w formie, wykwintny w swej lakoniczności. Następne

drzwi, mniej masywne, bardziej dekoracyjne, przypominają drzwi z dzieciństwa od frontonu – tu najpiękniejsza, mosiężna klamka, bogata w linie i ornamenty – elegancja z czasów eklektyzmu. Kolejne drzwi mają klamki podobne, jakie były najbardziej popularne w tych stronach – solidne mosiężne, o prostych formach, bez jakichkolwiek upiększeń, zachwycające swą wyniosłą prostotą. Siedem obustronnych klamek podobnych do siebie, ale każdy komplet inny, ze względu na ręczną robotę. Niektóre są lekko zaokrąglone, wszystkie znakomicie przetrwały czasy kolejnych państwowości. Klamki niczym czarodziejska maszyna sprawiają, żeś dotknął lat dwudziestych.

Przyznam, że aż tyle klamek o takiej sprawności w domu Mieczkowskich nie było. Część z nich pamięta losy innych krewnych w Fabianiszkach. Jedną z klamek, którą uznać by można za "księżniczkę" wśród pozostałych, a pochodzą z drzwi, prowadzących do salonu, nie udało się zastosować – potrzebowałaby ona masywnych, większych drzwi i mocnych sprężyn.

Tak oto, inna epoka została wpleciona do dzisiejszej codzienności. Klamki zachowują właściwą sobie dyskrecję, mają dla mnie ciepło dłoni przyjaciela, w słońcu potrafią ukazać swój urok w całej pełni, jaki zapamiętałem jako dziecko, usiłując złapać złote promienie, które tańczyły wokół nich.

W Jarze



Ryszard Sawicki

– Dopiero marzec – pomyślał Józef. Patrzył na ośnieżoną ziemię,

na ciemne pnie drzew, które wydawały mu się drewnianymi kolumnami starego domu, podtrzymującymi dach nad gankiem, ale dom ten i ganek nie były takie jak w budynku, gdzie mieszkał, niewielkim, obrośniętym dzikim winem, te pnie starych drzew, grube, mocne, były jak kolumny w olbrzymiej świątyni, zbudowanej dla bogów z innego świata niż jego świat, z minionego świata jaki jawił mu się czasem, gdy wchodził do lasu. W leśnym jarze, głębokim i ciemnym nawet wówczas, gdy ziemia wysłana była nieskazitelną bielą śnieżnego kobierca i lśniła w półmroku, w podolskim jarze wyrzeźbionym przez wodę roztopów, a płynącą pod ziemią jeśli nie musiała, z powodu nadmiaru, płynąć po powierzchni. Patrzył na drzewa, które wyrosły długo przed jego pierwszą wizytą w tych okolicach, przed pierwszym zejściem do jaru, do źródła, które biło w jarze. Te prastare drzewa były jego przyjaciółmi, od których, jak mu się zdawało, mógł w trudnych chwilach spodziewać się pocieszenia.

Potrzebował pocieszenia, bo czuł, że *serce smuci się wspomnieniem, a co było dawniej już nigdy nie wróci,* jak wyraził wierszem wstępując do jaru. Układał takie rymy w samotności, a potem, wróciwszy do domu, starał się zapisywać to, co jeszcze pamiętał. Ale zazwyczaj zapominał swoje rymy zanim jeszcze wyszedł z lasu.

Wśród drzew rosnących w jarze rymy dawały się słyszeć jak szum lekki, tajemniczy, niosący się z oddali. Dobiegały nie tylko

do uszu, lecz i do duszy człowieka. Szum wiatru w liściach lub szum strumienia mieszał się z tym szumem słów. Szum albo szept raczej, w którym słyszał czasem wabienie – idź do źródła skąd płyną tajemnice.

Czasem ogarniał go lęk przed tymi głosami. Tłumaczył sobie, że nie musi podążać do żadnego ukrytego źródła, że rozumie wszystkie głosy lasu, a także głosy, które dobywały się z dna duszy.

Znał źródło swego żalu. Pozwalał mu pulsować, ale nie chciał odgarniać liści, które spadły na wodę w tym źródle. Nie chciał zagłębiać się w przebrzmiałe rozmowy, pozwalał im jednak sączyć się z dna pamięci. Pozwalał, by dobiegał go cichy płacz, którego on, Józef, nie zdołał utulić. Pozwalał otwierać się zakamarkom pamięci, w których tętnił żal.

W ciemnym jarze nie słychać było głosu dzwonów, bo dzwonnice były daleko za lasami. Ptaki śpiewały też jakby ciszej. Józef wierzył jednak, że cisza jest mu przyjazna. Znał swój las dobrze, był przecież jego strażnikiem. W kościelnej łacinie, w dokumencie jaki otrzymał z klasztoru, dla którego pracował, nazwano go „prefectus silvarum”. Wszystkie drzewa, także i te w mrocznym jarze, a więc jakby bardziej poważne czy nawet smutne, były mu powierzone. Las był dlań powiernikiem jak i on dla lasu.

W jarze wiersze nachodziły Józefa najczęściej. Były zwykle smętne, jakby zanurzone w mroku, który go zewsząd otaczał po śmierci żony. Nawet śmiech dzieci, ich zabawy, nie zawsze potrafiły rozweselić wdowca. A kiedy każde z dzieci odchodziło po kolei z domu, zakładało własne rodziny, smutek opanowywał go jeszcze podczas wesela. I dlatego lubił las, lubił stare drzewa, nie tylko te młode, które sadził w okolicy własnymi rękami, o które dbał. Nazywał je swoimi, bo były jego, jemu zawdzięczały życie. Szedł ogarnięty smutkiem do tych starych drzew, pamiętających ludzi, których wcale nie znał, a którzy zapuszczali się do jaru dużo wcześniej niż on go oswoił. Nim zaczął budować z okolicznych kamieni leśną kaplicę, modląc się o łaskę radości.

Wierzył, że radość przychodzi z wiosną. Tak do młodych jak i do starych drzew. Do roślin i do ludzi. Radość, której nie mógł nazywać radością lata. Sądził, że lato jest nie dla niego, że go pominęło. Dojrzałego życia nie potrafił utożsamiać z dojrzewaniem zbóż. Odkąd zabrakło mu towarzyszki życia, odkąd sam musiał troszczyć się o dorastające dzieci, niecierpliwie czekał na każdą wiosnę. Tylko wiosna budziła w nim nadzieję odmiany, radość życia. Ale głos lasu nie był wyrazisty.

Tego dnia, 19 marca 1907 roku, myślał o wiośnie. I mówił do siebie – czemu lata nie zaznałem, choć doń tyle razy wzdychałem; takie losu mego przeznaczenie, nie mając przed kim zwierzyć me cierpienie, wiośnie raz tylko zwierzyłem się o

tem, której ufałem tak przed tem jak potem.

Myślał o tym wszystkim co się zdarzyło od przedwczesnej śmierci żony. O powrotach pór roku, o wiecznym upływie czasu. O tym, że niedługo znowu trzeba będzie zająć się pszczołami. Myślał o tych swoich pracownicach, które wymagały opieki nim nazbierały miodu, by go mógł sprzedać i zapewnić sobie dodatkowy dochód, skromny ale ważny, bo jego pensja leśnika nie wystarczała na utrzymanie, na ubrania dla dzieci, na ich edukację.

Myślał coraz rzadziej o Jadwidze, zmarłej żonie, a coraz częściej o Helenie, córce przyjaciela, również leśnika.

Miał wyrzuty sumienia z powodu tych nowych myśli. Wyrzucał sobie każdą wizytę u Ludwików. Wyrzucał sobie pocałunek, na który pozwolił sobie po latach znajomości z Heleną. Ułożył wiersz o tym pocałunku, bo wiersz wydawał mu się mniej jego własną, a bardziej cudzą wypowiedzią, jakby opisem czyjegoś, nie jego własnego doświadczenia. Wspominał wiersze Słowackiego, zwłaszcza ten fragment „Balladyny", w którym Goplana mówi do Grabca: *Pocałowanie to ślub dla czystych dziewic, na dziewiczym wianie za każdym pocałunkiem jeden listek spada*. Ale odpowiadał sobie wierszem Szymonowicza, w którym także mowa o pocałunku: *Marna rzecz całowanie; ale w tej marności są też swoje przysmaki, są swoje słodkości*. W

swoim własnym wierszu usprawiedliwiał się dlaczego pocałował w usta, a nie w policzek. Skarżył się przy okazji, że usta panny były zimne. I, że była *trzpiotką.* I, nim uciekła *jak dziki kotek,* powiedziała – wesoło, w buzię, z boku, w oczek dwoje, na to chętnie zgodzę się, pozwolę… ale w usta… to… nie higienicznie.

W wierszu przyznał się też, że zawsze całuje w usta, więc tego jednego całusa nie można traktować wyjątkowo… choć był wyjątkowy. Takimi rymami bawił się jakby miał lat kilkanaście, a nie, bagatela, ponad pięćdziesiąt. Cóż, usta panny nie były chyba aż tak zimne. Może jeszcze tego dnia 1907 roku nie wyobrażał sobie, że będą cieplejsze. Może był zajęty budowaniem kaplicy, znoszeniem kamieni, które znajdował w lesie. I modlił się o zmianę losu, jednocześnie wyrzucając sobie te modlitwy.

Wiersz „z jaru" zatytułowany był „Skarga". W jarze myślał o minionych latach. Nim przeszedł od skargi do całusa, przeżył jeszcze jeden rok, znowu spoglądał na pracujących w polu rolników i sam zbierał z uli miód. *Już kłos dojrzały powiązany leży, zagonów skiby czernieją od słońca, a lud spracowany rad by dnia końca doczekać i wrócić do domu, do swego ogniska, bo tam zawsze można pełnię sił odzyskać… ja jednak nie mam po co wracać do swej chaty, bo wiatr jesienny rozwiał przed laty żar, który ktoś wzniecał, ktoś umiał podtrzymać.* Tak pisał w marcu 1907 roku, w głębokim jarze, na którego dnie leżał jeszcze śnieg.

Drugi wiersz o pocałunku został zanotowany 9 marca 1908 roku. Ale i wtedy nie wiedział jeszcze, że panna Helena mu naprawdę przeznaczona. Nie wiedział, że rodzina Ludwika jest bardziej przychylna jemu niż o wiele młodszemu od niego adoratorowi. Nie przypuszczał, że może być jeszcze raz w życiu w pełni szczęśliwym.

Zabiegał o rękę pięknej Heleny przez czternaście lat. Postanowił nie żenić się nim którekolwiek z dzieci z pierwszego małżeństwa nie ułoży sobie życia. Czekał. Chodził po lesie, zaglądał do leśniczówki w Kozłowie. Pisał wiersze. Doglądał pszczół, sadził drzewa. Miał nie tylko kogo, ale i co kochać.

Lasy klasztorne były ogromne. Wieś Gawareczyzna była położona daleko od innych wsi, a do najbliższego miasta, Białego Kamienia, było pięć kilometrów. Wieś zamieszkiwali biedni gospodarze, przeważnie Rusini, i jedna rodzina żydowska. Zajmowali się garncarstwem, uprawą roli, korzystali z darów lasu. Józef nie był bogaty, ale pomagał biedniejszym od siebie sąsiadom. Starał się sprzedawać miód i inne wyroby pszczelarskie, ale tym, którzy nie mogli zapłacić, dawał je za darmo. Tak samo jak nabiał i zioła. Nikt, kto tego potrzebował, nie odchodził z leśniczówki z pustymi rękami. Las był przecież dla wszystkich, darzył zawsze szczodrze, więc nie można było skąpić tych darów.

Las też darzył zdrowiem. I siłą. Taką, jak siła starych drzew rosnących w jarze. I tych młodych, które sadził, a które rosły szybko, zieleniły się coraz bardziej obficie. Z każdą wiosną dziwiły swego opiekuna wspanialszym listowiem. A w jesieni, tej smutnej, bezlistnej jesieni, wspanialszymi, nagimi konarami.

I jemu, Józefowi, sił i zdrowia nie brakowało. Był, mimo upływu lat, jak mocne drzewo, którego nie ugnie byle wiatr, którego gałęzi nawet piorun łatwo nie odłamie. Żył życiem lasu, który wie jak przetrwać, byle człowiek mu nie zagrażał. Byle nie budował zbyt wielu dróg w tym lesie, ani zbyt wielu domów. Obce mu były kłopoty opiekunów miejskich parków, w których trzeba wycinać co roku jakieś drzewa, usychające przed czasem. Pilnować, by nie niszczono kwiatów i krzewów. Miał inne troski.

Ze swymi troskami zwracał się do Stwórcy, który mieszkał nie tylko w murowanych świątyniach. Do tego, któremu ufał, iż nie zaniedbuje go, jak on nie zaniedbywał lasu. Choć nie przestępował kamiennych progów miejskich świątyń tak często jak nakazywał kościelny obyczaj, to jednak często modlił się sam, bez pomocy kapłanów. I tylko uważał, by modlitwy wznosiły się wysoko, jak przystało, ponad wszelkie korony, także i te najwyższe korony drzew. Na wszelki wypadek wyznaczył sobie pokutniczą pracę zbieracza kamieni. Budował własną świątynię, własnymi rękami. Tak, jak zawsze chciał zbudować swój dom. Ale nigdy nie stać go było na zakup materiału. Więc mieszkał w

podarowanej mu na czas pracy leśniczówce, a wznosił dom Bogu, z tego co miał pod ręką, o co nie musiał wypraszać u zakonnic. Nie musiał też tłumaczyć nikomu po co buduje ten dom, a nie inny. Żył po swojemu.

I kiedy panna Helena odżałowała odejście młodego narzeczonego, zaczął drugie życie. Wychował jeszcze dwoje dzieci. Był znów szczęśliwy.

Józef, mój pradziad, zmarł 9 maja 1936 roku, a więc pod koniec wiosny. Podczas drugiej wojny światowej znikł jego grób w Białym Kamieniu, ale do dziś istnieje leśna kaplica w miejscu, które okoliczni mieszkańcy wyznania grecko-katolickiego nazywają Sawicka Góra. Urządzają tam pielgrzymki i wierzą, że źródło bijące w kaplicy ma moc uzdrawiającą.

Gymkhana



Anna Habryn

Gymkhana w Payne’s Find przyciągała w każdą Wielkanoc tłumy ludzi. Zawody i pokazy konne były największym wydarzeniem

roku.

Oprócz pokazów i wyścigów codziennie smażono setki steków na olbrzymich *barbecues*, a piwo lało się strumieniami. Przez cały weekend maleńki pub pękał w szwach, do baru trudno się było docisnąć, a szczęśliwcy, którzy zajęli barowe stołki opuszczali je tylko po to, żeby na chwilę wyskoczyć w wiadomej sprawie. Toalety były oblężone, ale krzaków dookoła zatłoczonego pola kempingowego nie brakowało. Busz zaczynał się za ostatnimi przyczepami, w których mieszkali przez dwie lub trzy noce farmerzy z całej okolicy.

Oczywiście, wszelkie możliwe organizacje korzystały z wielkiego zjazdu właścicieli i pracowników okolicznych *stations*, żeby organizować kiermasze i stoiska, w ktorych sprzedawano domowego wyrobu arcydzieła tworzone w kuchniach i przydomowych warsztatach na cele dobroczynne.

Margaret była działaczką jednej z takich organizacji, toteż na *Gymkhana* bywała co roku obowiązkowo. W tym roku umówiliśmy się tam w drugi dzień świąt.

Od kilku tygodni krążyliśmy z Margaret po przecinających się orbitach i przyciąganie czuliśmy coraz mocniej, ale o spotkaniu na uboczu mogliśmy tylko marzyć. Mnie pilnowała wcale nie dyskretnie matka moich dzieci, jej pilnowała dorastająca córka,

istotka sprytna i wszędobylska. Spotkanie w Payne’s Find

podczas wielkanocnej imprezy było pomysłem – jak nam się zdawało – doskonałym. W tłumie można zniknąć z oczu rodzinie, co nie było w żaden sposób możliwe w malutkiej mieścinie, takiej jak Cue.

W świąteczny poniedziałek rano obaj z moim dobrym kumplem Rodem wybraliśmy się na imprezę. Trochę popatrzyliśmy sobie na *barrel racing*, czyli na panie wywijające na koniach esy floresy między trzema beczkami, a potem Roda pociągnęło w stronę pubu. Umówiłem się z nim na powrót do domu wieczorem – i powędrowałem szukać mojej przygody. Margaret znalazłem z pewnym trudem, bo stoisk sprzedających hot-dogi z cebulą i keczupem było kilka. Stanąłem w kolejce, kupiłem szaszłyk i dałem jej znak, że czekam. Pięć minut później znalazła mnie w tłumie i ostrożnie, bez ostentacji, powędrowaliśmy w busz.

Dzień był słoneczny i słońce prażyło. Margaret miała sukienkę w kwiaty i duży kapelusz. Wyglądała pięknie. Kiedy ten kapelusz zdjęła i zaczęła mnie całować, ziemia zakołysała mi się pod nogami. Rozejrzałem się, a że byliśmy sami, podniosłem moją kobietę i ułożyłem na rozgrzanym czerwonym piasku. Śmiała się gardłowym, lekko ochrypłym śmiechem. Czułem jej ręce na moim karku, na moich plecach i pośladkach. Jej białe ciało pachniało tak, że oszalałem zupełnie. Zamknąłem oczy i przez

jakiś czas zanurzałem się w tym zapachu, czując, jak pragnienie wzbiera i pęcznieje.

– Mamo!

– To było jak uderzenie bata po plecach. – Shit! – pomyślałem i zastygłem w bezruchu.

– Przestań! – To było do mnie. – Ja mam przestać? – Margaret gwałtownie wywinęła się spode mnie i usiadła. – Shit, shit, shit. Cholerna córka. Znalazła nas, i to właśnie teraz. Niech to diabli.

Ale Margaret już stała na nogach i otrzepywała się z piasku. Potem bez słowa pociągnęła córkę za rękę i prawie biegiem ruszyła z powrotem w stronę ludzi. Pod krzakiem zostały majtki. Pewnie dla mnie na pamiątkę. Shit.

Doprowadziłem się do porządku i ruszyłem w stronę ludzi. Czułem się tak podle, że musiałem się napić.

Przed pubem cały placyk zastawiony był motocyklami. Demony, klub, a właściwie gang znany w okolicy. Czarne motocykle, czarne skóry, biżuteria z białego metalu wszędzie, gdzie się ją da umieścić. Ich dziewczyny miały twarze malowane na biało. a włosy na czerwono. Widocznie dopiero co przyjechali, bo zdejmowali kaski, ocierali pot i kurz z twarzy. Zaraz zajmą

wszystkie stołki w barze, musiałem się śpieszyć.

W środku maleńkiego pomieszczenia były zaledwie trzy stoliki, zajęte, ale przy barze siedział mój kumpel Rod. Przecisnąłem się do niego i jakoś właśnie w tej chwili facet obok wstał i chwiejnie ruszył do wyjścia. Wskoczyłem na jego miejsce i poczułem się lepiej.

– Bitter – zażądałem i patrzyłem, jak bursztynowy napój pieni się w mokrej szklance. a piana spływa barmanowi po palcach.

– Cholerni *bikies* – powiedziałem do Roda. Byłem wściekły, ale nie mogłem Rodowi powiedzieć o swojej porażce w krzakach więc zacząłem się wyżywać na facetach w czarnych skórach na motorach, co robią burdy. Łobuzy, zdemolowali niejeden roadhouse, jak mówią ludzie.

– „Maleńki” – powiedział Rod.

– No właśnie – przytaknąłem. – O nich mówię. „Maleńki” to było przezwisko przywódcy gangu. Chłop był podobno olbrzymi.

– Zamknij się – powiedział Rod.

– Boisz się ich? – zapytałem ze złością. Rod przez zaciśnięte zęby mruknął – za tobą.

Okręciłem się na stołku o sto osiemdziesiąt stopni – i nosem prawie otarłem się o wielką metalową klamrę z jakimiś dziwnymi ornamentami. Wyżej była skórzana kamizelka, niżej, no cóż, mogłem go pocałować w pępek. Facet był rzeczywiście dwumetrowy. W ułamku sekundy przemknęło mi przez myśl, że nie mam szans. Ale dzielnie spojrzałem w górę. Ponad siwiejącą brodą widziałem nos i oczy, które wpatrzone były w półki nad barem. Nad moją głową złożył zamówienie i odszedł z trzema piwami w olbrzymich łapach nie zatrzymawszy na mnie wzroku nawet przez sekundę. Jakby mnie w ogóle nie było.

Tego dnia upiłem się do nieprzytomności. Rod zaniósł mnie do samochodu na plecach, ale zanim dojechaliśmy do Cue, obudziłem się. Była noc, kiedy wysiadłem przed swoim domem. W żadnym oknie nie paliło się światło. Nie wszedłem do domu. Poszedłem do szopy, gdzie spokojnie przeżuwał siano mój koń. Miałem Bena. Miałem przyjaciela, który mnie kochał. I ja go kochałem.

Założyłem Benowi uzdę i wyprowadziłem go z szopy na ulicę. Miasteczko spało spokojnie. Klepnąłem konia po szyi. Ja wam pokażę, pomyślałem. Wdrapałem się na grzbiet i na oklep pogalopowałem główną ulicą wrzeszcząc na całe gardło:

– Yahoo! Yahoo! Yahoo!

A potem spadłem gdzieś w krzaki i przespałem do rana. Tak straciłem szansę na płomienny romans i męską walkę ze złem. Cholerna australijska prowincja!